



Rozmowa prof. Stanisława Wołkowicza z dr. Wojciechem Salskim, jednym z nestorów polskiej geologii i znawcą geologii rud miedzi i innych surowców mineralnych

Prof. dr hab. Stanisław Wołkowicz (S.W.): Panie doktorze, jak zaczęła się Pańska kariera naukowa?

Dr Wojciech Salski (W.S.) (ryc. 1): Studia ukończyłem w 1957 r. na Wydziale Geologii Uniwersytetu Warszawskiego. Promotorem mojej pracy dyplomowej był prof. Jan Samsonowicz. Ten wybór nie był przypadkowy. Uznawałem jego ogromny autorytet i wiedzę, a ponadto profesor zajmował się geologią Gór Świętokrzyskich, zatem przypuszczałem, że teren moich badań będzie się właśnie tam znajdował. Góry Świętokrzyskie były mi zawsze bardzo bliskie, ponieważ pierwsze lata dzieciństwa spędziłem w Kielcach. Jeszcze jako mały chłopiec udawałem się na wycieczki w różne miejsca Gór Świętokrzyskich. Tak zrodził się mój sentyment do tych terenów. Przy wyborze promotora istotne było również to, że interesował mnie przede wszystkim okres paleozoiku, więc Góry Świętokrzyskie były idealnym miejscem na badania.

Swojej kilkusobowej grupie magistrantów prof. Samsonowicz poświęcał ogromną ilość czasu. Zaryzykuję twierdzenie, że to chyba prawie w ogóle się nie zdarza, żeby promotor był tak bardzo zaangażowany w pomoc swoim studentom. Przed rozpoczęciem pracy w terenie mieliśmy przez trzy–cztery miesiące spotkania z profesorem na ulicy Oboźnej. Otrzymaliśmy od niego polecenie zgłębienia całej literatury poświęconej Góróm Świętokrzyskim. Wtedy jeszcze trzymał w tajemnicy wybrane dla nas lokalizacje terenów badań. Kiedy już to ujawnił, okazało się, że przypadł mi jeden z najbardziej urokliwych zakątków Gór Świętokrzyskich, czyli Przełom Lubrzanki i Góra Rodostowa.

Regularnie zdawaliśmy profesorowi relacje z naszych prac. Był wobec nas niezwykle wymagający, a zdaniem moich kolegów, mnie traktował bardziej surowo niż innych. Po latach doszedłem do wniosku, że chyba profesorowi chodziło o to, żeby ze mnie wykrzesać coś więcej. Niemniej jednak wspominam ten okres jako bardzo istotny element realizacji pracy magisterskiej. Po ukończeniu prac terenowych ponownie spotykaliśmy się u profesora, żeby omawiać stan przygotowania tekstu oraz załączników graficznych.

W pamięci pozostało mi spotkanie z prof. Samsonowiczem w maju 1957 r., na którym omawialiśmy tekst mojej pracy magisterskiej, którego rękopis przekazałem mu kilka dni wcześniej do oceny. Przeglądaliśmy ten tekst strona po stronie z zamieszczonymi na marginesach uwagami profesora. Były one dość liczne i bardzo wnikliwe, co dowodziło, że poświęcił na tę czynność wiele czasu. Dopiero po latach uświadomiłem sobie, jak wielką rolę przywiązywał mój promotor do przygotowania młodych geologów do zawodu. Po przeglądnięciu całego materiału profesor orzekł: *po uwzględnieniu wszystkich uwag, proszę tekst przepisać i przekazać maszynistce*. Ciężko westchnąłem, bowiem tekst liczył ponad 100 stron, więc z wielką obawą zapytałem, czy to jest konieczne? Na to padło pytanie: *a kto będzie przepi-*



Ryc. 1. Wojciech Salski, w okresie emerytury na Polu Mokotowskim w Warszawie, 2021 r. Fot. A. Salski

sywał na maszynie? Odpowiedziałem, że moja mama i wówczas usłyszałem odpowiedź: *jeżeli mama, to zupełnie co innego*.

S.W: A jakim w ogóle człowiekiem był prof. Jan Samsonowicz? Sporo wiemy o nim jako badaczu Gór Świętokrzyskich i jednym z głównych odkrywców złóż surowców w okresie międzywojennym. A jaki był prywatnie?

W.S.: Prywatnie był dosyć zmienny. Miał nieco porywczy charakter i zdarzało się, że gwałtownie wybuchał. Ale te wybuchy były bardzo krótkotrwałe. Pamiętam, że zwykle po takim zdarzeniu jeszcze twarz miał nieco zagniewaną, ale oczy już uśmiechnięte. Myślę, że bardzo kochał młodzież, z tym, że był dość oszczędny w okazywaniu tego.

S.W: Słyszałem, że prof. Samsonowicz nie bardzo widział miejsce dla kobiet w geologii. Czy Pan mógłby to potwierdzić? To jest o tyle ciekawe, że jego główną asystentką i „prawą ręką” była pani prof. Krystyna Korejwo. Więc jest tutaj chyba jakaś niespójność.

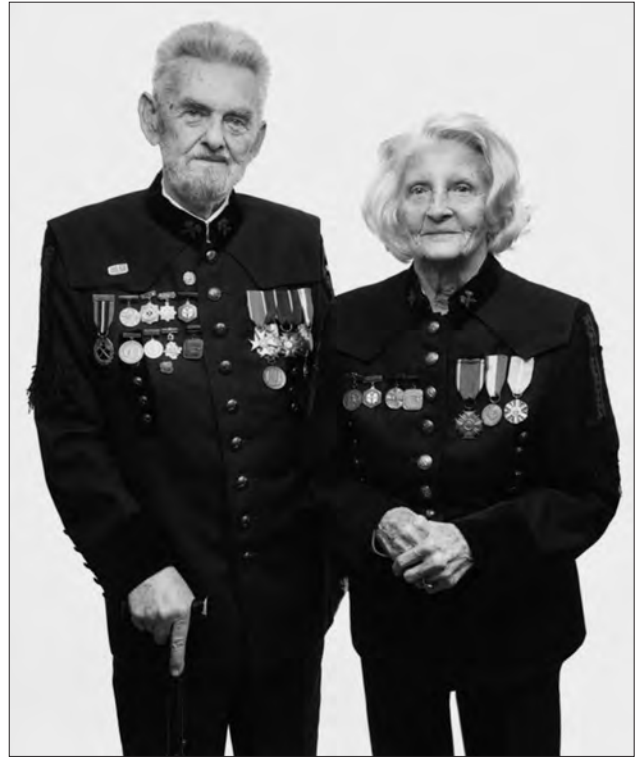
W.S.: Takie opinie docierały także do mnie w czasie studiów, więc być może coś z prawdy w nich jest. Wydaje mi się, że prof. Krystyna Korejwo była traktowana przez niego wyjątkowo. W naszym zespole magistrantów była

jedna koleżanka, ale muszę przyznać, że nigdy przy tych licznych spotkaniach z profesorem nie zauważyłem, żeby była jakoś inaczej traktowana.

S.W.: Po ukończeniu studiów rozstał się Pan na jakiś czas z geologią tą podstawową, bo zajął się złożami. Jak to się zaczęło?

W.S.: Rozstałem się i z geologią podstawową, i z Warszawą. Moja żona także skończyła geologię w tym samym roku co ja i decyzje o zmianie miejsca zamieszkania i pracy podejmowaliśmy wspólnie. Wybraliśmy górnictwo rud żelaza nie bez powodu. W czasie studiów na miejsce swojej praktyki wybrałem kopalnię węgla kamiennego i byłem na dwóch wycieczkach złożowych w kopalniach rud żelaza oraz cynku i ołowiu, a także w Wieliczce. Wtedy jako młody człowiek w szczególny sposób patrzyłem na górnictwo. Imponowało mi ono i uważałem, że to jest prawdziwa męska robota. I ten czynnik odgrywał ważną rolę w wyborze górnictwa rud żelaza. Ale były też przesłanki rodzinne – w Częstochowie mieszkał wujek i ciocia mojej żony, a my byliśmy młodziutkim małżeństwem, więc taka baza rodzinna była niezwykle pomocna. A poza tym wujek miał w Częstochowie znajomości, więc to wszystko się złożyło na wybór kopalń rud żelaza. Tak zaczęły się nasze wspólne, wieloletnie związki z górnictwem (ryc. 2).

Los sprawił, że w 1955 r. znalazłem się na terenie przyszłej mojej pracy zawodowej w okolicach Kłobucka. Po trzecim roku studiów prof. Józef Gołąb organizował grupę studentów, która na zasadzie płatnego zlecenia miała wykonać powierzchniowe kartowanie terenu w obszarze planowanej kopalni *Wręczyca*. Było to zdjęcie hydrogeologiczne z rejestrowaniem wszystkich, nawet najmniejszych zbiorników wodnych i cieków oraz charakteru warstwy pod glebą pod kątem jej przepuszczalności. Na tej podstawie profesor miał opracować ekspertyzę na temat wielkości obszaru zasilającego wody dopływające do przyszłej kopalni *Wręczyca*. Równocześnie prowadzone było wiercenie udarowe, hydrobadawcze w celu rozpoznania głębszych warunków hydrogeologicznych. Na potrzeby pracujących załóg wiertniczych oraz z myślą o przyszłym inwestorze został wybudowany parterowy murowany barak. W trakcie prac kartograficznych stanowił on również bazę noclegową dla naszej grupy. Na początku lat 60. ub.w. ciężar eksploatacji osadowych rud żelaza zaczął się przesuwać z rejonu częstochowskiego w okolice Kłobucka, w związku z uruchamianiem nowych kopalń, m.in. kopalni *Wręczyca* i *Malice*. W 1960 r. dyrekcja mojego przedsiębiorstwa górniczego przeniosła się z kopalni *Jerzy* k. Częstochowy do kopalni *Wręczyca* i wówczas z działem geologiczno-mierniczym znalazłem się w baraku, w którym mieszkałem w trakcie pracy wykonywanej dla prof. J. Gołąba. W latach 70. XX w. zaczęto stopniową likwidację tych kopalń, mimo że zasoby nie zostały wyeksploatowane. W tym czasie niezwykle dynamicznie rozwijane było górnictwo węglowe, w którym brakowało rąk do pracy. Władze partyjno-rządowe podjęły decyzję o stopniowej likwidacji kopalń rud żelaza, aby nastąpił przepływ siły roboczej na Górną Śląsk. Kilkanaście lat później ponownie zetknąłem się z problematyką górnictwa rud żelaza. Było to już podczas pracy w Zakładach Badawczych i Projektowych Miedzi *Cuprum* we Wrocławiu, kiedy otrzymaliśmy zlecenie na opracowanie kryteriów bilansowości dla tych złóż.



Ryc. 2. Krystyna i Wojciech Salscy – małżeństwo geologów z tradycjami górniczymi. 2024 r. Fot. A. Salski

To zabrzmie trochę paradoksalnie, ale te kryteria bilansowości miały uzasadnić likwidację kopalń, które już były zlikwidowane. Zresztą władze partyjno-rządowe głosiły wówczas, że górnictwo rud żelaza jest nieopłacalne i to była prawda. Kopalnie funkcjonowały w rejonie Częstochowy już w okresie międzywojennym, ale w tamtym okresie sytuacja była inna – eksploatowano złoża bardzo płytko zalegające, rudę wydobywano prymitywnymi metodami, a siła robocza była tania. Po wojnie warunki się zmieniły, budowano kopalnie głębsze i większe, wyposażone w nową technikę i przez to wzrosły koszty. Taki stan utrzymywano przez wiele lat ze względu na nadrzędny cel rozwijania hutnictwa, tradycyjne zatrudnianie miejscowej ludności, a także zasady składu chemicznego syderytów. W tym czasie dostarczano nam ze Związku Radzieckiego rudę żelaza kwaśną o dużej zawartości krzemionki i nasze rudy węglanowe zastępowały po części wsad wapienno-dolomitowy do pieców hutniczych.

S.W.: Panie Doktorze, dla większości naszych czytelników i dla mnie też jest Pan przede wszystkim człowiekiem związanym z górnictwem miedziowym. Jak to było w Pana przypadku, kiedy się to zaczęło?

W.S.: Po trzech latach pracy w górnictwie rud żelaza, przyznam, że złoża te coraz mniej mnie interesowały. Ich budowa geologiczna była niezwykle monotonna. Natomiast wyzwaniem było przejęcie obowiązków geologa kopalni, ponieważ nasza uczelnia zupełnie nie przygotowywała nas do takiej roli. Znalazłem się w dziale geologiczno-mierniczym jako jedyny geolog. Ratunkiem dla mnie była wówczas książka prof. Romana Krajewskiego *Geologiczna obsługa kopalni*. Dzięki niej mogłem się praktycznie przygotować do sprawowania tej funkcji i wypełniania swoich obowiązków.

Kiedy jednak opanowałem te umiejętności, to dalsza praca stała się rzemiosłem.

W 1958 r. dotarły do mnie wiadomości o odkryciu złoża rud miedzi w Lubinie. Bardzo mnie to zainteresowało jako geologa. Nie pomyślałem od razu o pracy, sądziłem, że wykonywane są tam dopiero wiercenia przez przedsiębiorstwo geologiczne, które w następnym etapie opracuje dokumentację złoża. Dopiero w 1959 r. podczas I Krajowego Zjazdu Górnictwa Rud na Górnym Śląsku dowiedziałem się, że Lubin to nie tylko wiercenia, ale już planuje się budowę kopalni, a nawet powołany jest inwestor. Podziało to na mnie jak bodnięcie ostrogą. Od tej chwili myśl o pracy w Lubinie towarzyszyła mi codziennie. Wyjechałem nawet do Lubina na rekonesans, aby zobaczyć, jak to wygląda i czegoś konkretniejszego się dowiedzieć. W efekcie postanowiłem podjąć starania, aby związać swoje losy z nowym terenem i rodzącą się inwestycją. Kolejny raz pojawił się kontekst rodzinny – mój związek z żoną geologiem rzutował na wszelkie następne poczynania. Sporo miałem w życiu przenosin związanych ze zmianą pracy i zawsze trzeba było patrzeć na to w ten sposób, że pracę w nowym miejscu musi mieć również żona. Szczęśliwie okazało się, że dla niej praca również się znajdzie, więc we wrześniu 1960 r. przybyłem do Lubina z plecakiem z najniezbędniejszymi manatkami.

W listopadzie 1960 r. rozpoczęto głębenie pierwszego szybu wschodniego o symbolu L-III kopalni *Lubin* (ryc. 3). Miał to być szyb umożliwiający dalszą budowę kopalni, ale także szyb pilotażowy, w którym rozpoznano warunki górnicze, a wiedza ta miała być pomocna w głębeniu następnych szybów. Moim zadaniem była geologiczna obsługa tego szybu. Była to praca bardzo ciekawa, ale zarazem dość żmudna. Ciekawa, bo oglądało się *in situ* w odsłonięciu te wszystkie skały, które dotychczas były znane wyłącznie z rdzeni. A uciążliwa dlatego, że szyb był głębiony odcinkami kilkumetrowymi, które były następnie zasłaniane stalą obudową tubingową i betonową. Zanim to następowało, w szybie musiał znaleźć się geolog, który opisywał odsłonięty profil oraz pobierał próbki skał, a ten moment wypadał o różnych porach doby.

Tej pracy trzeba się było nauczyć, mając na uwadze szczególne warunki panujące w szybie. Pierwsze szyby miały w obudowie średnicę 6 m, a w wyłomie, to znaczy przed założeniem obudowy, ok. 7,5 m. Wszystkie szyby na obszarze miedzionośnym były mrożone, ponieważ od powierzchni ziemi zalegał gruby kompleks zawodnionych utworów czwartorzędu, paleogenu i neogenu o łącznej miąższości od 320 do 370 m. Skały zamrożone były odsłaniane w interwałach 10–12-metrowych, które mogły być profilowane w krótszych odcinkach o wygodnej porze dnia. Natomiast w przypadku końcowej części profilu należało bardzo uważać, aby zdążyć z jego rozpoznaniem przed założeniem stałej obudowy.

W strefie mrożonej skały były urabiane młotkami pneumatycznymi, ponieważ użycie materiałów wybuchowych zagrażałoby rurom otworów mrożeniowych znajdujących się wokół szybu.

S.W.: A jak się Pan przemieszczał w szybie?

W.S.: Transport w głębinym szybie odbywa się za pomocą kubła o pojemności 2 m³. Jest on przeznaczony do transportowania urobku skalnego na powierzchnię ziemi,



Ryc. 3. Wojciech Salski w głębinym szybie wschodnim (L-III) kopalni *Lubin*, w odcinku mrożonym w utworach paleogenu. Maj 1962 r.

załogi oraz urządzeń i materiałów. O wymiarach kubła mówi fakt, że górna jego krawędź sięgała mi do brody, dlatego żeby do niego wejść, a później z niego wyjść, trzeba było wykazać się sporą sprawnością. Ta „jazda kubłem” odbywała się przez cały czas budowy szybu, a więc na głębokość 800–900 m, mogła więc robić wrażenie.

W mrożonym odcinku szybu panowała ujemna temperatura, dlatego zjeżdżałem ubrany w tzw. kufajkę, a na nogach miałem gumowce. W szybie było zimno, a na powierzchni w środku lata mogło być ponad 20°C. Pierwszy szyb znajdował się ok. kilometra od kombinatu, więc pokonywałem ten odcinek pieszo, maszerując w upale we wspomnianej kufajce.

Zimą sytuacja bywała odwrotna. Kiedy przebywałem poniżej strefy mrożonej, temperatura w szybie w anhydrytach i dolomitach cechsztyńskich na głębokości ponad 500 m przekraczała 25°C, a na zewnątrz na powierzchni panował 10-stopniowy mróz. Było to rzeczywiście hartowanie organizmu.

S.W.: Taka jest rola pionierów.

W.S.: To prawda. Byliśmy pionierami i przyznam, że czuliśmy niezwykłą dumę z tego, że uczestniczymy w tym wielkim przedsięwzięciu. Zresztą nie tylko my, geolodzy, ale także kadra inżynierska i zwykli górnicy mieli podobne odczucia. Tę szczególną atmosferę bardzo miło wspominam. Charakterystyczne dla Lubina było również to, że zjechali się tam ludzie z całej Polski, ale między innymi z tzw. starej miedzi, tj. z Bolesławca i Złotoryi, którzy byli szczególnie cenieni ze względu na ich doświadczenie w górnictwie miedziowym. Ten niezwykły ludzki konglomerat również stał się źródłem wyjątkowej i fajnej atmosfery.

S.W.: I jak już Pan zbudował ten pierwszy szyb, to czym Pan się potem zajmował?

W.S.: To stwierdzenie „zbudował szyb” jest zdecydowanie na wyrost, w tym przedsięwzięciu byłem małym trybikiem i wcale nie najważniejszym. Jeszcze zanim zakończyła się budowa pierwszego szybu, rozpoczęły się prace przy kolejnych. Następnymi w głębeniu były szyby główne kopalni *Lubin* oznaczone symbolami L-I i L-II. Przez pewien czas, gdy nie było jeszcze większego zespołu, samodzielnie

obsługiwałem zarówno szyb wschodni, jak i te dwa nowe. Było to możliwe, ponieważ na niektórych etapach głębienie szybu prace typowo górnicze są czasowo wstrzymywane i prowadzone są roboty mechaniczno-konstrukcyjne, mające na celu montaż dźwigarów oraz przedłużenie rurociągu sprężonego powietrza, kabli elektrycznych czy też przewodnic umożliwiających przemieszczanie się kubła.

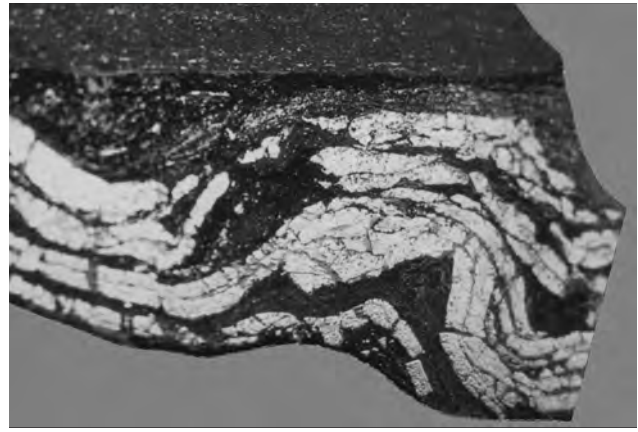
Później przybyli do pomocy kolejni pracownicy. Jako „stary praktyk” wprowadzałem nowych kolegów w arkana profilowania szybu, które nie jest takie proste. Na dole panuje ogromna ciasnota. Kilka metrów nad dnem szybu, na specjalnym mocowaniu, jest zawieszona ładownia, którą jest przenoszony urobek skalny do kubła, a oprócz niej w szybie pracuje ok. 10 górników. W takich warunkach wykonywanie profilowania geologicznego szybu jest naprawdę trudne.

Wracając jeszcze do szybu wschodniego, chciałbym opowiedzieć o przeżyciach związanych z dotarciem do złoża. Było to dla nas niezwykle ważne wydarzenie, wymagające doskonałej organizacji pracy. Na tym etapie geolog musiał być obecny w szybie podczas każdej zmiany. Złoże opróbowywaliśmy w czterech profilach bruzdowych, rozmieszczonych na obwodzie szybu co 90°. Chodziło o zebranie możliwie najpełniejszego i najbardziej reprezentatywnego materiału na temat zawartości miedzi i srebra w poszczególnych warstwach złoża oraz składu petrograficznego i mineralogicznego rudy. Dotarcie szybem do złoża miało jeszcze jedno istotne znaczenie. Po raz pierwszy można było uzyskać tak dużą ilość rudy, aby przeprowadzić badania jej wzbogacalności w skali półtechnicznej. Wcześniej dysponowaliśmy jedynie rdzeniami wiertniczymi, które trzeba było odpowiednio dzielić. Połowę rdzenia przeznaczano na badania chemiczne i mineralogiczne wykonywane na potrzeby dokumentacji, jedna czwarta pozostawała jako materiał dokumentacyjny, a ostatnią ćwiartkę przekazywano specjalistom od przeróbki do badań laboratoryjnych. Przy tak niewielkiej ilości materiału możliwości badawcze były więc bardzo ograniczone, a w szybie można już było pozyskać wiele ton rudy.

W profilu złoża szybu L-III mineralizacja występowała w dolomitach, łupkach miedzionośnych oraz w piaskowcach i urobek pochodzący z poszczególnych typów skał należało wybierać oddzielnie. Jako geolodzy musieliśmy przez cały czas czuwać nad prawidłowym przebiegiem tego procesu.

W trakcie prac dokonaliśmy interesującego odkrycia. Dolomity, łupki miedzionośne i piaskowce były już znane z wcześniejszych badań rdzeni wiertniczych. Tymczasem w szybie wschodnim, pomiędzy piaskowcami i łupkami miedzionośnymi występowała warstwa czarnych łupków ilastych o miąższości 10–12 cm, które weszły do literatury pod nazwą łupki smoliste (ryc. 4). Były one bardzo kruche, natomiast pod wpływem wody łatwo rozkładały. Te cechy sprawiały, że nie były wcześniej znane z wierceń, ponieważ ulegały rozmyciu w procesie wiercenia przez płuczkę. Ich obecność była więc zaskoczeniem, ale jeszcze większą niespodzianką okazała się zawartość w nich miedzi. W dolomitach wynosiła ona ok. 1,5–2,0%, a w piaskowcach była nieco niższa. Tymczasem w łupkach ilastych stwierdziliśmy ok. 10% miedzi, a w niektórych miejscach jej zawartość dochodziła nawet do 15%.

Warstwa ta stanowiła również obiekt niezwykle interesujący pod względem tektonicznym. Elastyczna warstwa



Ryc. 4. Sfałdowane i porożrywane warstewki bornitowo-chalkopirytowe w łupku ilastym (nazywanym smolistym). Kopalnia Lubin, rejon szybu wschodniego. Fotografia okazu, powiększenie ok. $\times 2$

łupków ilastych, znajdująca się pomiędzy dwiema sztywnymi masami skalnymi, została silnie zmięta i sfałdowana. Odpowiednia analiza tych struktur pozwalała uzyskać wiele cennych informacji na temat tektoniki złoża. O łupkach smolistych można powiedzieć, że stanowią czarną skrzynkę przeszłości tektonicznej monokliny przedsudeckiej.

W 1962 r. podczas głębienia szybów głównych kopalni Lubin doszło do dwóch poważnych awarii, polegających na przerwaniu płaszcza mroźniowego.

Mrożenie górotworu odbywa się w następujący sposób: na okręgu o średnicy znacznie większej niż średnica szybu wykonuje się, w odstępach ok. 1 m, szereg otworów wiertniczych. Otwory te są rurowane, a następnie włączane do obiegu medium chłodzącego. System działa podobnie jak lodówka. Jednymi rurami medium jest doprowadzane do otworów, a innymi powraca do agregatów, w których zostaje ponownie schłodzone.

Stosowanym wówczas medium chłodzącym była solanka, która powodowała korozję rur okładzinowych. W latach 60. XX w. nie dysponowaliśmy stałą o odpowiedniej jakości, dlatego rury korodowały stosunkowo szybko. Niszczeniu rur sprzyjały również naprężenia, jakie powstawały na granicy ośrodków, które w różnym stopniu podlegały mrożeniu jak np. zawadnione piaski i węgle brunatne.

Kiedy odsłonięty odcinek szybu miał wysokość kilkunastu metrów, pęknięcie rur prowadziło do przerwania płaszcza mroźniowego. Luźny materiał piaszczysty wdzierał się wówczas do szybu, który w krótkim czasie wypełniał się materiałem skalnym aż do poziomu hydrostatycznego.

Usuwanie skutków takich awarii trwało wiele miesięcy. Była to sytuacja, kiedy dalsza realizacja całej inwestycji stała pod znakiem zapytania. Wówczas jeszcze o tym nie wiedzieliśmy, ale wokół Władysława Gomułki, wielkiego orędownika budowy lubińskich kopalń, działała również silna grupa przeciwników tej inwestycji. Od początku uważali oni, że przedsięwzięcie jest niezwykle ryzykowne i wiąże się z ogromnymi kosztami.

S.W.: W pewnym momencie zakończył Pan pracę związaną z szybami i przeszedł do Zakładu Doświadczalnego.

W.S.: W pierwszym okresie w Lubinie pracowałem w dziale geologicznym kombinatu. W 1965 r. powstał Zakład

Doświadczalny – jednostka kombinatu, która miała się zajmować problematyką górniczą, w tym doborem systemów eksploatacji oraz maszyn górniczych. W zakres jego działalności wchodziły także zagadnienia geologiczne.

Ponieważ miałem zainteresowania i ambicje badawcze, doszedłem do wniosku, że praca w nowym zakładzie będzie dla mnie okazją do zdobycia kolejnych doświadczeń. Udało mi się przekonać do tego pomysłu mojego ówczesnego przełożonego Kazimierza Dubińskiego, głównego geologa kombinatu. Rozumiał, że wiąże z Zakładem Doświadczalnym duże nadzieje, dlatego nie stawiał mi przeszkód i dzięki temu przeszedłem do tej jednostki.

Zakres naszych działań był bardzo szeroki. Stworzyliśmy silny zespół geologiczny zajmujący się zmiennością złoża, badaniami mineralogicznymi i petrograficznymi, warunkami geologiczno-inżynierskimi i hydrogeologicznymi górotworu, rozpoznaniem tektoniki oraz zastosowaniem metod geofizycznych w kopalni. Szybki postęp poziomych robót górniczych stwarzał sprzyjające warunki dla szerokiej gamy badań. Istotnym czynnikiem dla wyników naszych prac miało ogromne zaangażowanie zespołu geologów i ambicje osiągnięcia wymiernych osiągnięć naukowych. Domeną moich prac badawczych były: badania geotermiki skał w kopalni, rozpoznanie warunków hydrogeologicznych budowanych szybów oraz badania tektoniczne. Te ostatnie znalazły się wkrótce w centrum moich zainteresowań. Dokumentacja geologiczna złoża w kategorii C1 opierała się na wierceniach wykonywanych w siatce $1,5 \times 1,5$ km. To było rozpoznanie punktowe, które nic nie mówiło, co jest między tymi punktami. Dzięki wyrobiskom górniczym mogliśmy w sposób ciągły śledzić wszystkie zmiany w środowisku skalnym, które dotychczas nie były dostępne dla geologa.

Moje zainteresowanie problematyką tektoniki obszaru miedzionośnego ciągle się rozwijało i wreszcie pochłonęło mnie na tyle, że stało się moim hobby. Mogłem w każdym czasie na ten temat rozmawiać, ku utrapieniu moich rozmówców, którzy niekoniecznie musieli podzielać moją pasję. Kiedy wyjeżdżałem z kopalni po kilkugodzinny prowadzeniu pomiarów i obserwacji deformacji tektonicznych i wracałem do domu, natychmiast siadałem do opracowania wyników badań, aby się dowiedzieć, czy udało mi się ujawnić określone prawidłowości. W ciągu czterech lat zebrałem obszerny materiał obserwacyjny opracowywany etapowo w ramach realizacji planowych tematów w Zakładzie Doświadczalnym.

Chociaż wcześniej o tym nie myślałem, z czasem zacząłem się zastanawiać, czy zebrane materiały nie mogłyby się stać podstawą dla pracy doktorskiej. Warunki ku temu miałem wyjątkowo sprzyjające: obiekt badań, to znaczy wyrobiska górnicze, leżały w zasięgu ręki, temat pokrywał się z planowanymi zadaniami mojego zakładu i wreszcie miałem życzliwe wsparcie dyrektora Zakładu Doświadczalnego Jana Pazdry. W podjęciu ostatecznej decyzji bardzo mi pomógł mój kolega dr Jan Tomaszewski, późniejszy profesor Politechniki Wrocławskiej. To właśnie on zasugerował mi, że idealnym promotorem mojego doktoratu będzie prof. Józef Oberc z Uniwersytetu Wrocławskiego, wybitny specjalista w zakresie tektoniki. Skontaktowałem się z profesorem i przedstawiłem mu całość spraw związanych z wykonywanymi przeze mnie badaniami tektonicznymi w odsłonięciach górniczych. Profesor zaproponował, abym zorganizował mu

zjazd do kopalni w celu przeprowadzenia wspólnych badań. Ta wizyta i zebrane podczas niej obserwacje oraz wyniki moich wcześniejszych badań zaowocowały wspólnym artykułem naukowym w *Kwartalniku Geologicznym*.

Z każdym kolejnym spotkaniem profesor stawał mi się coraz bliższy, a jego wypowiedziane z lwowskim akcentem *Kulego...* często wręcz mnie wzruszało. Myślę, że miałem w życiu szczęście do mistrzów, moich przewodników w pracy zawodowej i naukowej, a fakt, że mnie akceptowali napawał mnie satysfakcją.

Stopniowo sprawa mojego doktoratu nabierała rumieńców. Profesor Oberc poradził mi jednak, aby przewodu doktorskiego nie otwierać zbyt szybko i uczynić to wówczas, kiedy prace będą już w dużym stopniu zaawansowane. Wziąłem to sobie do serca, ale w pewnym momencie widocznie przesadziłem, ponieważ profesor stwierdził, że najwyższy czas na finał, bo badania można prowadzić w nieskończoność.

S.W.: Pański doktorat ma wciąż duże znaczenie, ponieważ praca do dziś pozostaje aktualna i jest cytowana przez geologów pracujących w KGHM nad zagadnieniami związanymi ze złożem miedzi. Z Zakładu Doświadczalnego przeszedł Pan następnie do Zakładów Badawczych i Projektowych Miedzi *Cuprum*. Jak do tego doszło?

W.S.: Stało się tak dlatego, że pion geologiczny w Zakładzie Doświadczalnym w pewnym momencie został rozwiązany. Wynikało to z faktu, że na czoło zadań stojących przed tą placówką wysunęły się sprawy wyboru najważniejszych systemów eksploatacji, badania maszyn górniczych, które były wówczas dostępne na rynkach światowych, i wybór najkorzystniejszych oraz prowadzenie doświadczalnej eksploatacji. W tym czasie w Zakładach Badawczych i Projektowych Miedzi *Cuprum* we Wrocławiu w pionie naukowo-badawczym funkcjonował Zakład Geologii Stosowanej kierowany przez J. Tomaszewskiego. Problematyka, jaką się w nim zajmowano, nierzadko dublowała się z tą w Zakładzie Doświadczalnym. Tomaszewski podjął w tym czasie decyzję o przejściu do pracy naukowo-dydaktycznej na Politechnice Wrocławskiej. W efekcie zwolniło się miejsce na stanowisku kierownika zakładu geologii. Przypuszczalnie odchodząc z *Cuprum*, zwrócił uwagę dyrektora na moją kandydaturę. Miałem już wówczas duże doświadczenie zawodowe jako geolog górniczy, zajmowałem się wcześniej pracą badawczą i byłem po doktoracie, tak więc w efekcie objąłem funkcję kierownika zakładu. Pomyślnie również ułożyło się u mojej żony, która została zatrudniona w *Cuprum*, ale w pionie projektowym, aby uniknąć sytuacji, że stanę się jej przełożonym.

Zakład Geologii Stosowanej zajmował się dość szeroką problematyką, w tym rozpoznawaniem górotworu pod kątem zagrożenia tąpnięciami, gospodarką złożem i oceną stopnia wykorzystania zasobów rud miedzi, perspektywicznością obszarów z mineralizacją miedziową na podstawie wierceń przemysłu naftowego, rozpoznawaniem składu mineralnego i petrograficznego rudy oraz warunkami hydrogeologicznymi kopalń i stopniem oceny zagrożenia wodnego. Moje osobiste zainteresowania i kierunki badań w *Cuprum* wyraźnie się zmieniły. Nie zajmowałem się już tektoniką, ponieważ wymagałoby to częstych dojazdów do kopalń w Lubinie, a jako szef zespołu nie mogłem niestety zbyt wiele czasu poświęcać na realizację własnych zainteresowań.

Skupiłem się natomiast na zmienności złoża, przede wszystkim na zróżnicowaniu jego podstawowych parametrów, jak zawartość miedzi i miąższość serii złożowej. Analizy prowadziłem na podstawie ogromnej ilości wyników rozpoznania złoża uzyskanego z próbek bruzdowych. Okazało się, że rejon złoża, w których jest ono reprezentowane przez dolomity, łupki i piaskowce, charakteryzują się najmniejszą zmiennością. Natomiast te pola, gdzie występują głównie dolomity, a łupki i piaskowce pojawiają się jedynie wyspowo, cechują się największą zmiennością. Wcześniej próbki bruzdowe pobierane w celu określenia stropu i spągu złoża oraz zawartości miedzi rozmieszczano w odstępach 15×15 m. Przeprowadzone obliczenia statystyczne w powiązaniu z analizą budowy litologicznej złoża wykazały, że zmienność jego parametrów w różnych częściach jest różna. Stosownie do wartości współczynników zmienności złoża należało zastosować trzy rodzaje gęstości opróbowania: tam, gdzie zmiany były największe, sieć opróbowania winna wynosić 15×15 m, przy nieco mniejszych wahanach parametrów złoża 20×20 m i w najbardziej stabilnych rejonach pod względem miąższości złoża i zawartości miedzi 25×25 m. Efektem tych prac było więc uzasadnienie znaczącego zmniejszenia ilości próbek bruzdowych, a w konsekwencji i ilości analiz chemicznych. W skali kopalni dawało to bardzo duże oszczędności. Podstawą do wdrożenia nowej metodyki opróbowania złoża była instrukcja, a praktyczne zastosowanie wyników badań zostało uznane jako wniosek racjonalizatorski. W 1982 r. zakończyłem pracę „w miedzi”, ale mniej ścisła i nieformalna współpraca była dalej kontynuowana.

Po rozstaniu się z górnictwem miedziowym i po powrocie do Warszawy po blisko 25 latach podjąłem pracę w Ministerstwie Hutnictwa i Przemysłu Maszynowego w Departamencie Górnictwa i Metali Nieżelaznych na stanowisku głównego geologa. Później przeszedłem do Centralnego Urzędu Geologii, a po reorganizacji centralnej administracji geologicznej do Ministerstwa Środowiska i Zasobów Naturalnych. W obu tych instytucjach zajmowałem się problematyką gospodarki zasobami złóż, sprawując kolejno funkcję wicedyrektora oraz dyrektora departamentu. To była, jak można się domyślić, całkowicie odmienna praca od dotychczasowej i nie wiele miała wspólnego z „geologiczną przygodą”. Przede wszystkim dostarczała znacznie mniej osobistej satysfakcji, ale nie znaczy to, że nie byłem w nią zaangażowany. Okresowo wykonywane były analizy stanu zasobów surowców mineralnych, zapotrzebowania na nie krajowej gospodarki oraz oceny stopnia wykorzystania ważniejszych kopalni. W odróżnieniu od „ministerialnego urzędowania”, ta sfera działalności bardzo mi odpowiadała.

S.W.: Panie Doktorze, zawsze kojarzył mi się Pan jako naukowiec ściśle współpracujący z dr. Andrzejem Rydzewskim. Często widywałem Panów razem w Instytucie. Jak wyglądała współpraca *Cuprum*, a szerzej całego kombinatu, z Państwowym Instytutem Geologicznym?

W.S.: Najbliżej współpracowaliśmy zawodowo w okresie kiedy pracowałem w *Cuprum*. Realizowano wówczas program rządowy pod symbolem PR-2, który obejmował również tematykę geologiczną. W tym zakresie miałem bardzo bliskie kontakty z Andrzejem Rydzewskim. Zlecałem mu przygotowanie opracowań dotyczących najnowszych wyników badań, ponieważ instytut prowadził wówczas ba-

dania w nowych rejonach. Poza tym byliśmy zaprzyjaźnieni. Kiedy pracowałem w kombinacie i zajmowałem się obsługą szybów, Andrzej, ilekroć przyjeżdżał do Lubina, zawsze gościł u nas w domu. Znał moją rodzinę, ale także większość geologów pracujących wówczas w kombinacie. Później, kiedy byłem już w Warszawie i na emeryturze, uczestniczyłem w opracowaniach wykonywanych przez pracowników instytutu dotyczących oceny gospodarki złożem w kopalniach rud miedzi, więc poza kontaktami towarzyskimi kontynuowane były te zawodowe. Ponadto nie rzadko bywaliśmy razem na różnych uroczystościach i spotkaniach geologów z okazji barbórek i jubileuszów w Kombinacie Górniczo-Hutniczym Miedzi w Lubinie.

S.W.: Niedługo będziemy obchodzić 70. rocznicę odkrycia złóż miedzi. Niektórzy nasi koledzy z Wrocławia przypisują ich odkrycie prof. Józefowi Zwierzyckiemu. Czy Pana zdaniem to on był odkrywcą, czy może Jan Wyżykowski?

W.S.: Dyskusja na ten temat trwa od dawna, chociaż obecnie jej temperatura już nieco opadła. Moim zdaniem prof. Zwierzycki miał niewątpliwe zasługi, ponieważ w okresie powojennym zwrócił uwagę na monoklinę przed-sudecką jako obszar perspektywiczny dla poszukiwań geologicznych. Mówiąc jednak o gospodarczym znaczeniu monokliny, jej perspektywach oraz potrzebie prowadzenia wierceń, miał na myśli przede wszystkim sole i bituminy. Było to bardzo ważne. Pamiętajmy, że jeszcze w latach 60. ub.w. tereny te określano mianem tzw. Ziemi Zachodnich, a wielu Polaków miało wątpliwości, czy pozostaną one w granicach Polski. Profesor Zwierzycki podkreślał więc gospodarcze znaczenie tego obszaru i potrzebę prowadzenia na nim prac poszukiwawczych. Nigdzie jednak nie wypowiadał się na temat łupków miedzionośnych.

S.W.: Panie Doktorze, powiedział Pan na początku naszej rozmowy, że geologia stała się pańską pasją. A co szczególnie interesowało Pana poza pracą zawodową?

W.S.: Miałem kilka pozazawodowych zainteresowań. Nigdy jednak nie było jednej dziedziny, która pochłonięłaby mnie bez reszty, jak się to czasem zdarza. Powiedziałbym raczej, że co najmniej trzy sfery zajmowały mnie szczególnie mocno, zresztą w czasie nakładały się w pewnym stopniu na siebie.

Pierwszą z nich była fotografia. Interesowałem się nią już w czasach szkolnych. Miałem kolegę, który nie tylko fotografował, lecz także samodzielnie wywoływał zdjęcia. Towarzystwem mu przy tej pracy i w naturalny sposób uczyłem się od niego umiejętności, chociaż nie miałem własnego aparatu. Później moje zainteresowanie fotografią przygasło, ponieważ nie było ku temu przesłanek. Wróciłem do sprawy, kiedy zacząłem pracować w Lubinie. Był okres jesienno-zimowy, czekałem wówczas na mieszkanie z dala od rodziny, dlatego pomyślałem, że warto ponownie zająć się fotografią.

S.W.: Jak udało się Panu zdobyć aparat? W tamtych czasach nie był to przecież łatwo dostępny sprzęt.

W.S.: Sprzyjało mi położenie Lubina w pobliżu Legnicy, gdzie stacjonowały wówczas wojska radzieckie. Żołnierze

rze przywozili ze Związku Radzieckiego różne przedmioty przeznaczone na sprzedaż, m.in. aparaty fotograficzne Zorki-4. W legnickim sklepie taki aparat kosztował 3800 zł, natomiast od radzieckiego żołnierza można go było kupić za 1800 zł. Bez większego namysłu skorzystałem więc z tego „żołnierskiego importu” i zacząłem fotografować.

Od razu pomyślałem również o wyposażeniu ciemni. We Wrocławiu kupiłem powiększalnik, lampę ciemniową, kuwety oraz pozostałe potrzebne akcesoria. Mieszkalem wtedy w pokoju w domu jednorodzinnym, który wcześniej zajmowali Rosjanie. Budynek był w bardzo złym stanie. Jesienią i zimą dni były tak krótkie, że podczas wykonywania odbitek nie musiałem nawet zasłaniać okna, tym bardziej, że ówczesny Lubin tonął w ciemnościach. Wystarczyło zgasić światło w pokoju. Początkowo fotografowałem właściwie wszystko, żeby przypomnieć sobie technikę robienia zdjęć oraz obróbki filmu i wykonywania odbitek.

Po pewnym czasie porozumiałem się w kombinacie z naczelnym inżynierem do spraw górnictwa, który również interesował się fotografią. Wpadliśmy na pomysł, żeby przekonać dyrektora kombinatu do urządzenia ciemni fotograficznej na terenie zakładu.

Napisałem pismo, w którym argumentowałem, że w pracach geologicznych, a także do dokumentowania rozwoju inwestycji bardzo przydatny byłby aparat fotograficzny. W rezultacie dział geologiczny otrzymał znakomitą lustrzankę Exakta Varex oraz lampę błyskową wyposażoną w akumulator o dużej pojemności elektrycznej. Było to bardzo ważne, ponieważ planowałem wykonywać liczne zdjęcia w wyrobiskach górniczych, a do tego potrzebne było wydajne źródło światła. Otrzymałem także od dyrektora kombinatu oficjalne zezwolenie na fotografowanie obiektów przemysłowych. W latach 60. XX w. nie było to wcale proste. Gdybym bez zezwolenia fotografował kopalnie rud miedzi, mógłbym być posądzony o szpiegostwo (ryc. 5). Dzięki uzyskanej zgodzie zgromadziłem pokaźne archiwum fotografii, które okazało się bardzo pomocne przy publikacjach wspomnieniowych. Umiejętność fotografowania była mi przydatna przede wszystkim w realizacji pracy doktorskiej oraz wielu publikacji naukowych, w których zamieszczałem własne zdjęcia okazów geologicznych i odsłonięć górniczych, zwłaszcza przy ukazywaniu deformacji tektonicznych.

S.W.: Czy próbował Pan zainteresować fotografią również swoje córki?

W.S.: Chciałem je zarazieć tą pasją, nauczyć fotografowania i samodzielnej obróbki zdjęć. Niestety nie udało mi się. Los potrafi jednak zaskakiwać, ponieważ mój wnuk został fotografem. Zajmuje się fotografią artystyczną, ukończył studia licencjackie na Akademii Sztuk Pięknych, pracuje jako zawodowy fotograf i może się poszczycić się sporym dorobkiem.



Ryc. 5. Szyb wschodni (L-III) kopalni Lubin, widok w nocy. Październik 1962 r. Zdjęcie wykonano ze statywu z wieży triangulacyjnej. Jasna smuga w dolnej części to światła przejeżdżających szosą samochodów



Ryc. 6. Pierwsza rodzinna eskapada samochodowo-namietowa. Biwak nad Jeziorem Turawskim. Czerwiec 1965 r.

S.W.: Drugą ważną pasją były podróże.

W.S.: Zawsze lubiłem poznawać nowe miejsca. Znalazłem też sposób, żeby podróżować bez ponoszenia wielkich kosztów – była nim turystyka namiotowa. W 1965 r. otrzymałem z kombinatu przydział na samochód marki Wartburg. Byłem zaskoczony, ponieważ starałem się o mniejsze i tańsze auto. Wartburg był dla mnie właściwie nieosiągalny finansowo. Z pomocą przyszedł jednak mój teść, który pożyczył mi pieniądze na jego zakup. Jeszcze tego samego lata wybrałem się z żoną i córkami w podróż po Polsce. Mieliśmy niewielki, dwuosobowy namiot, ale mieściliśmy się w nim wszyscy – cała nasza czwórka. Trasa wiodła z Lubina przez okolice Jeziora Turawskiego (ryc. 6), a później do Częstochowy, żeby odwiedzić rodzinę. Oczywiście zajrzeliśmy również w Góry Świętokrzyskie. Następnie była Warszawa, gdzie mieszkała moja mama, oraz Toruń, w którym mieszkali rodzice żony. Później dotarliśmy do Łeby i Kołobrzegu, a stamtąd wróciliśmy już do domu, do Lubina. To była nasza pierwsza duża wyprawa. W kolejnych latach pojechaliśmy wraz z córkami na podbój tzw. demoludów, m.in. do Bułgarii i Rumunii. W latach 70. Odbiliśmy z żoną eskapadę do Jugosławii, tym razem maluchem i oczywiście z namiotem.

Poza wrażeniami, jakie pozostały nam w pamięci z wycieczki, zarejestrowałem zdarzenie, które miało miejsce przy przekraczaniu granicy polsko-czechosłowackiej. Bagażnik na dachu samochodu był wyładowany sprzętem turystycznym – był namiot, stół, krzesła i materace. Były to lata, kiedy Polacy takie rzeczy masowo sprzedawali za granicą, bowiem było to opłacalne. Aby temu zapobiegać celnicy sporządzali spis wywożonego sprzętu, aby dokonać ponownej kontroli przy powrocie. W naszym przypadku celnik omiótł wzrokiem cały bagaż i stwierdził: *nie ma sensu spisywać i tak nic nie wróci do kraju*. Tak się złożyło, że wracaliśmy przez to samo przejście graniczne i spotkaliśmy tego samego celnika. Przypomniałem mu co powiedział, kiedy wyjeżdżaliśmy, i wówczas krzyknął do kolegi: *Franek, chodź zobacz* (tutaj padło całkowicie niecenzuralne słowo), *oni wszystko z powrotem przywieźli*.

S.W.: Korzystali Państwo z pól namiotowych?

W.S.: Nigdy za nimi nie przepadałem, ponieważ często warunki na nich bywały fatalne i bywało na nich towarzystwo nie mające nic wspólnego z turystyką. Dlatego, kiedy tylko było to możliwe, rozbijaliśmy namiot „na dziko”, gdzieś na łąkach lub leśnych polanach. Przy wyjazdach nad morze było to jednak niemożliwe i trzeba było korzystać z kempingów. Z czasem kupiliśmy większy namiot z przedsionkiem. Kiedy zmieniłem samochód na malucha, nie zrezygnowaliśmy z rodzinnych podróży. Dzisiaj wspominam je ze zdumieniem, bo zdarzało się, że jechaliśmy nad morze, a w niewielkim samochodzie mieściliśmy się: ja, moja żona, córka, wnuk i pies. Całe wyposażenie namiotowe, garnki oraz pozostałe akcesoria turystyczne były upchane na bagażniku dachowym.

S.W.: Czy wnuki również dały się przekonać do takiego sposobu podróżowania?

W.S.: W 1999 r. wybrałem się w Góry Świętokrzyskie z młodszym wnukiem, który wcześniej nie miał okazji uczestniczyć w naszych namiotowych wyprawach. Miał wtedy 10 lat. Przyjechaliśmy do Kielc i pierwszego dnia zwiedziliśmy wspaniałą jaskinię Raj. Po wyjściu z jaskini powiedziałem do niego: *Sluchaj, musimy już ruszać, żeby przed zmrokiem znaleźć miejsce na rozbicie namiotu*. Trochę się przestraszył, a ponieważ w sąsiedztwie znajdował się niewielki hotel, zapytał: *A nie moglibyśmy spać tutaj?* Postanowiłem oddać sprawę w ręce wnuka, więc odpowiedziałem, że jeżeli sam załatwi nocleg, możemy zostać. Wrócił jednak z informacją, że nie ma wolnych pokoi. Pierwsza noc pod namiotem minęła bez żadnych problemów, podobnie jak kolejne. Później jeszcze wiele razy jeździliśmy razem na takie wyprawy.

S.W.: Wspomniał Pan o trzech najważniejszych zainteresowaniach. Co było trzecim?



Fot. 7. Małżeństwo Salskich w towarzystwie krasnala, w trakcie sjeisty na działce Rakowiec w Warszawie. Wrzesień 2002 r.



Ryc. 8. Własna mini winnica na działce Rakowiec w Warszawie. Wrzesień 2006 r.

W.S.: W pewnym momencie zostałem działkowcem. Mój tata otrzymał działkę w 1948 r., przy ul. Żwirki i Wigury w Warszawie. W pobliżu, od strony ulicy Rostafińskich, ogrody działkowe istniały już przed wojną. W przyszłym roku przypada setna rocznica ich założenia! Teren, na którym znajdowała się nasza działka, został przyłączony do starego kompleksu ogródków i początkowo był zwykłym ugiem podzielonym na 300-metrowe poletka.

Moi rodzice bardzo zaangażowali się w to niewielkie gospodarstwo ogrodnicze. Ja pomagałem im raczej dorywczo. Dopiero, kiedy na stałe wróciłem do Warszawy, a mama nie miała już siły zajmować się ogródkiem, z konieczności przejąłem nad nim opiekę. Okazało się, że bardzo szybko połączyłem działkowego bakcyła. Im więcej pracy wkładałem w ogród, tym bardziej mnie to zajęcie pochłaniało. Kiedy dołączyła do mnie żona, przejęła wszystkie prace, których nie lubiłem, np. pielienie, a ja mogłem skupić się na tym, co sprawiało mi największą przyjemność – pielęgnowaniu drzew i krzewów, wycinaniu i karczowaniu ich oraz sadzeniu nowych (ryc. 7).



Ryc. 9. Etykiety na butelki z winem własnej produkcji. Opracowanie graficzne P. Słowiński

S.W.: Skąd wziął się pomysł na uprawę winorośli?

W.S.: Kiedyś znajomy poczęstował mnie winem czerwonym z winogron z własnego ogródka. Wino bardzo mi smakowało, a do tego dostałem w prezencie sadzonkę tej winorośli. Posadziłem, przyjęła się i tak to się zaczęło. Zacząłem czytać fachową literaturę i szukać kontaktu z ludźmi, którzy mieli już doświadczenie w uprawie winorośli. Ich wiedza bardzo mi pomogła. Do przedsięwzięcia przygotowałem się solidnie. Zbudowałem konstrukcje, po których mogły pięć się winorośle, a później sadziłem kolejne odmiany kupowanych winorośli. Z czasem w moim ogrodzie pojawiły się winogrona białe, ciemne i różowe (ryc. 8).

Kiedy nadszedł czas pierwszych większych zbiorów, musiałem zdecydować, co zrobić z winogronami. Odpowiedź wydawała się oczywista – postanowiłem rozpocząć produkcję wina.

Na początku ponownie sięgnąłem do poradników i odbyłem wiele rozmów z osobami, które miały doświadczenie

w winiarstwie. Jeden z kolegów podpowiedział mi również, że butelki powinny mieć własne etykiety i samokurczące się plastikowe kapturki. Dzięki temu wyrób będzie wyglądał bardziej profesjonalnie.

Mój drugi wnuk zajmuje się grafiką komputerową, dlatego też poprosiłem go o przygotowanie projektu etykiety. Wino nazwałem *Château de Żwirki et Wigury*. Butelki opatrzone etykietą i kapturkiem rzeczywiście prezentowały się bardzo elegancko (ryc. 9). Dużą radość sprawiało mi obdarowywanie znajomych własnym winem, a kiedy jeszcze usłyszałem pochwałę jakości, przyjemność była podwójna. Niestety ta działalność należy już do przeszłości, ponieważ zarówno uprawa winorośli, jak i czynności związane z tworzeniem wina wymagają odpowiedniej kondycji.

S.W.: Dziękuję za rozmowę.

*Wojciech Salski, Stanisław Wołkowicz,
opracował Artur Baranowski*